Tom XV. Nr. 15.
21. listopada 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

JOACHIM LELEWEL.

Do najsławniejszych mężów, jakich wydała Polska, należy wielki uczony Joachim Lelewel. Był to wzór wielkiej nauki i wielkiej pracy, wzór cnoty, zacności i miłości ojczyzny. Nietylko w Polsce ale i na całym prawie świecie znane jest imię Lelewela a wszędzie imię to wspominają z uwielbieniem i szacunkiem.

Joachim Lelewel urodził się w r. 1786, a więc za owych czasów, kiedy Polska nasza była jeszcze wolną, choć jej już dużo ziemi wydarli przemocni sąsiedzi. Lelewel będąc jeszcze maleńkim chłopaczkiem, okazywał wielki rozum i ogromną pilność, a kto tylko lepiej poznał chłopczynę, mógł zaraz przewidzieć, że będzie z niego kiedyś uczony nielada. Jakoż istotnie dotrzymał tego Lelewel, co za młodych lat obiecywał, został wielkim uczonym polskim. Pracowity i skromny, uczył się on za młodu ciągle i bez wytchnienia prawie, tak że wszyscy dziwili się, zkąd mu na to sił i ochoty staje.

Tą pracą swoją i temi zdolnościami, któremi go Bóg obdarzył, nabył Lelewel tyle nauki, ile podówczas mało kto a może

i nikt nie miał w Polsce. Przedewszystkiem zaś zgłębiał Lelewel dzieje swego narodu, swej ojczyzny Polski, którą nad życie kochał, i dochodził z rozmaitych starych ksiąg i papierów, jakto też przed dawnemi i najdawniejszemi czasy działo się w Polsce, co też robili nasi przodkowie i pradziadowie, jakie przed wiekami całemi były urządzenia w Polsce, jakie wojny, jacy królowie, jaki obyczaj. To wszystko wyszukiwał on z starych ksiąg rozmaitych, czytał, myślał, dochodził, i w końcu też znał jakby na palcach wszystko, jak się co kiedy stało w Polsce, tak jakby to sam był widział na własne oczy. Powyszukiwał on rozmaite takie stare zabytki, o których nikt przedtem nie wiedział, a z których się można było dowiedzieć o dawnych Polakach, powynajdywał stare papiery o dawnych królach i hetmanach, i tak z tego wszystkiego dochodził o wszystkiem, co się tylko kiedy działo na polskiej ziemi.

Nie dziw więc, że wnet zasłynęło imię Lelewela, sława jego rozniosła się na kraj cały i wszyscy czcili w nim wielkiego uczonego. Powołano go tedy do Wilna, gdzie była wielka szkoła dla młodych Polaków i w tej szkole zrobili go profesorem. Kiedy tam Lelewel zaczął uczyć, to na jego naukę tyle się zbiegało studentów, że ani połowa ich nawet nie mogła się pomieścić w izbie, choć izba ta była ogromna, bo każdy pragnął bodaj zachwycić słów tego uczonego. Ale oprócz wielkiej swej nauki posiadał Lelewel także serce zacne i cnotliwe, które kochało ojczyznę nadewszystko, posiadał on także skromność wielką i miłość dla wszystkich współbraci a osobliwie dla młodych studentów. To też za to wszyscy wileńscy studenci pokochali swego profesora jak ojca i każdy byłby za nim w ogień skoczył. On też kształcił ich umysły i serca, uczył ich, jaka to dawniej sławna i wielka była nasza ojczyzna, i jak to ją miłować trzeba całem sercem i całą duszą, pierwszą po Bogu, i jak to każdy człek prawy i Polak prawdziwy powinien w razie potrzeby oddać za nią i mienie i życie.

A było to już w owych czasach, kiedy już Polska była podzielona między Austrją, Prusy i Moskwę. Wilno, stolica Litwy, gdzie Lelewel był profesorem, była wtedy, tak jak po

dziś dzień pod władzą moskiewską. Otoż nie podobało się Moskalom, że Lelewel tak pięknie prowadzi młodzież, i że studenci tak serdecznie miłują ojczyznę. Namiestnik moskiewski wymawiał nawet Lelewelowi, że studentom ciągle o Polsce prawi. Ale Lelewel był człowiek, który się nie dał nastraszyć niczem, bo nikogo nie potrzebował, służył on cnocie i prawdzie. Odpowiedział on tak moskiewskiemu gubernatorowi:

— Ani fortuny ani honorów nie szukam, jeżelim użyteczny to dobrze, jeśli nie, to sobie pójdę i uczyć wam nie będę, kiedy mi prawdy mówić nie pozwalacie!

Niedługo też był Lelewel w Wilnie. Moskale widząc, że młodzież nie chce się moskalić, ale jest polską i że serdecznie kocha swą ojczyznę a nienawidzi Moskwy, zaczęli okrutnie prześladować studentów, oddawali ich do wojska, wrzucali w podziemne więzienia, katowali, gnali na Sybir. Rozpędzili też potem i co najlepszych profesorów, a tak i Lelewel udał się z Wilna do Warszawy.

Tu w Warszawie żył Lelewel ubogo, mieszkał na stryszku i ciągle w księgach pracował, a od czasu do czasu kazał wydrukować jakie pismo swoje, które pełne były nauki i mądrości, a które Polacy uczeni z wielką chciwością czytali. Tak żył i pracował Lelewel — gdy nadszedł rok 1831, w którym to roku jak wiecie wybuchło powstanie w Warszawie. Lelewel już dawniej o tem wiedział, że będzie powstanie, bo jakżeby on o tem nie wiedział, on, co pierwszy był do ofiar i poświęcenia dla ojczyzny, on, którego cała młodzież polska tak czciła i kochała! To też gdy wybuchło powstanie, Lelewel już o niczem nie myślał, tylko o tem, jakby zakierować, aby to powstanie się udało. Więc też chodził na narady, zachęcał, przestrzegał, napominał wszystkich, aby gorąco bronili polskiej sprawy. Wybrano Lelewela do rady, która była rządem tymczasowym i miała taką godność jakby królewską, i Lelewel na tym dostojnym urzędzie służył gorliwie ojczyźnie i rodakom, walczącym z Moskwą.

Ale nieodgadnione są wyroki Wszechmocnego! Powstanie polskie upadło! Moskale zwyciężyli — a Lelewel musiał porzucić swoją ojczyznę. Musiał porzucić rodzeństwo, swoje książki

i papiery, pożegnać się z polską ziemią, którą tak miłował, i iść na tułactwo, między obcych ludzi!

Ale Moskale i na obcej ziemi nie dali spokoju Lelewelowi. Wiedzieli oni, jaki to człowiek mężny i zacny, a więc jak jest dla nich niebezpieczny. Okrutny car moskiewski Mikołaj porozpisywał listy do wszystkich monarchów, aby żaden nie wpuścił Lelewela w granice swego państwa. Lelewel, który udał się był do Francji i idąc piechotą i z kijem w ręku szukał gdzie kąta cichego, został aresztowany przez francuzkich żandarmów. Gdy dano znać o tem do samego króla francuzkiego, ten nakazał aby Lelewela natychmiast wywieźć z kraju francuzkiego. Był bowiem wtenczas królem francuzkim Ludwik Filip, człek niedołężny i bojaźliwy, który się bał narazić moskiewskiemu carowi.

Cóż miał robić biedny wygnaniec! Z ojczyzny Polski musiał uchodzić przed Moskalami, z Francji go wygnano, do Austrji, do Prus ani mu wstąpić nie wolno było! Udał się do Belgji, kraju co sąsiaduje z Francją. Kraj ten jest bardzo wolny a królowie tam zawsze bardzo sprawiedliwi. W Belgji tedy pozwolono mieszkać Lelewelowi. Udał się on do samej stolicy, która się zwie Bruksellą i tu zamieszkał. Najął sobie gdzieś na strychu ubogą komórkę i tu począł pracować nad książkami. Nie chciał on wielkich dochodów, bo mawiał zawsze, że mu nie potrzeba, tylko tyle, aby miał za co kupić sobie kawałek chleba i świeczkę, aby w nocy pracować. Żył sobie tedy tak ubożuchno ten wielki i sławny Polak na tym strychu i dnie i noce spędzał na pisaniu uczonych książek. Nosił się w lichem odzieniu jak prosty robotnik, sam sobie co rana chodził po mleko, po drwa i wodę, sam sobie był sługą a jadał razem z robotnikami w lichej kuchence. A czynił to wszystko dlatego, że był człowiekiem wielkiej zacności i na małem lubił przystawać, a żadnego daru od nikogo by był nie przyjął.

Król belgijski miał zbiór rozmaitych zabytków starożytnych, starych odwiecznych pieniążków, i chciał, aby mu to kto spisał i objaśnił. Szukał do tego uczonego człeka — a prosił wreście Lelewela, aby mu to zrobił. Lelewel zrobił jak się

należało, wypisał i wyłożył wszystko jasno. Król za to posłał mu kilka tysięcy reńskich, a Lelewel rzekł:

— Ja moją pracę cenię sobie tylko na 500 reńskich i więcej nie wezmę.

I odesłał resztę królowi nazad!

Gdyby Lelewel był chciał przyjmować dary i wsparcia, byłby mógł żyć jak pan, ale on nie chciał mieć nic darmo, i na tem tylko przestawał, co sam sobie zarobił. Bywało panowie polscy przyjeżdżają do niego, proszą, błagają na klęczkach, aby się nie tyrał, nie biedził, aby przyjął od nich mieszkanie i wszelkie wygody, nieraz zaklinają go, aby wziął od nich pieniądze i żył spokojnie! — Gdzie tam! Lelewel o tem ani sobie mówić nie dał. Nieraz to się brano na sposoby i skrycie podrzucano pieniądze Lelewelowi, albo jakim innym podstępem chciano mu zrobić ulgę w życiu, ale on zawsze poznał się na tem i nie przyjął.

Jeden pan polski dowiedziawszy się, że Lelewel jada za tanie pieniądze bardzo lichą strawę u jednego oberzysty, poszedł do tego oberzysty i powiada do niego:

— Oto masz pieniądze, dawaj panu Lelewelowi dobry obiad, jak może być najlepszy, ale nie gadaj mu nic o tem, że ja ci dopłacił, tylko udawaj tak, jakbyś ty mu taki obiad dawał za te pieniądze, za któreś się z nim ugodził!

Oberzysta zrobił tak jak ów pan chciał. Lelewel zdziwił się, że nagle takie dobre obiady — domyślił się zaraz, że w tem coś być musi i rzekł do oberzysty:

— Mój panie gospodarzu! to nie może być, abyś ty za te liche pieniądze, które ja ci płacę, mógł mi bez straty dawać takie dobre obiady. Albo ty więc na mnie tracisz, albo ci ktoś zapłacił, a ja ani na to ani na to nie przystanę. Dawaj mi takie obiady, jakieś mi dawniej dawał, bo inaczej cię porzucę!

I tak i ten wybieg się nie udał!

Takim był Lelewel. Cnota i nauka jego wielki mu wyrobiły szacunek za granicą, u obcych narodów. Anglicy, Niemcy, Francuzi — wszyscy podziwiali tego uczonego męża. W samem mieście Brukselli wszyscy Lelewela czcili i uwielbiali. Kiedy szedł przez ulicę, wszyscy zdejmowali czapki z głowy,

a lud ubogi, robotnicy, jakby drugiego króla go honorowali. Bywało, kiedy Lelewel idzie na przechadzkę gdzie do ogrodu miejskiego, to król belgijski będąc także na przechadzce, pierwszy mu się ukłoni i z ławeczki ustąpi, aby uczony staruszek miał gdzie odpocząć. Kto tylko z Polaków jechał za granicę, każdy wstępował do Lelewela, aby ucałować rękę temu wielkiemu mężowi. Być w Belgji a nie widzieć Lelewela, toby znaczyło tak, jak być w Rzymie a nie widzieć papieża. On z radością przyjmował swoich rodaków i wypytywał o stanie swej biednej ojczyzny, którą tak kochał!

Umarł Lelewel niedawno, bo temu lat kilka, na obcej ziemi opłakiwany przez Polskę całą. Wielki to był mąż, wielkiej mądrości i serca wielkiego, godzien wiecznej chwały i wiecznej miłości u swego narodu!

PIAST.

Pełno myszy, kara Boża!
W Polaków ziemicy —
Głód doskwiera — lud wymiera,
Choć w Kruszwicy, na stolicy
Dość chleba i zboża!

Przyszli święci aniołowie
Do króla Popiela,
I głodnego, ubogiego
Ludu z nimi wiela.
Lecz królewstwo nic nie dali,
Jeszcze wyłajali!

Poszli święci aniołowie
Z nimi ludu wiela,
Głodno, chłodno idą z miasta,
A wyszedłszy w pole
Widzą chatę niebogatę,
Lecz że bocian na stodole,
Wstępują do Piasta!

Piast gospodarz gości wita,
W dom wprowadza za stół sadza,
Kto i zkąd nie pyta,
A Rzepicha gospodyni
Jeść i pić przynosi,
Kto wziął mało wnet przyczyni,
I prosi a prosi!

A gdy naród wciąż napływa
Wszystkim rada, wszystkim szczera,
Od alkierza drzwi otwiera,
I co ma rozdaje!

Coraz nowe głodne zgraje
Oblegają dom dokoła,
Jedzą, piją nie ubywa,
Zawsze pełne misy, dzbany,
Bo dar Boży wciąż się mnoży.

Bacząc na to lud zebrany
Jednogłośnie woła:

Kołodzieju! dobrodzieju!
Panujże, nam panuj!
A ty ludu, pomny cudu,
Szanuj Piastów, szanuj!

I jakoby w dzień wesela
Gody się zaczęły,
A myszy z całej ziemicy
Gopło przepłynęły,
I w Kruszwicy na stolicy
Zagryzły Popiela!

J. K. Podolecki.

Morze lodowate.

Głupia ciekawość, która do niczego dobrego nie prowadzi, jest nierozsądkiem i grzechem; ale mądra ciekawość, chciwa nauk, oświaty i prawdy Bożej, jest piękną i zaszczytną żądzą. Ona to wyprowadza narody ze stanu dzikości i poniżenia na drogę rozumnej pracy i pomyślności; i po wszystkie czasy ludzie tą mądrą a nie grzeszną ciekawością zdjęci, stawali się dobroczyńcami braci swoich, bądź przez użyteczne wynalazki, bądź przez odkrycia przynoszące i zaszczyt i dostatki współziomkom, a im samym, prócz zasługi, wewnętrzne zadowolenie z poczciwej i użytecznej pracy.

Nad samem morzem jest kraj Hollandja, a ludzie tam zamieszkali bardzo są szykowni do przemysłu, do handlu i do roli, i wyprawiają się na morze w różne strony świata, to na wschód, to na południe, to na zachód a nawet i ku lodowatej północy, bądź dla połowu wielorybów i cieląt morskich, z których wytapiają tysiące beczek tłustości czyli tranu, bądź też dla wyszukania krótszej na drugą część świata drogi, gdyż zwykła droga dla Holendrów ku północy mieszkających, zdawała się jeszcze zbyt długą.

Jak sobie ludzie dawniej głowy nad tem suszyli, jakby się dostać do krańców ziemi, tak później nad tem tylko myśleli, jakby spieszniej i bezpieczniej po ogromnych oceanach żaglować.

Już się poprzednio Holendrzy parę razy zapuszczali na morze lodowate, lecz dostawszy się na północne wybrzeża Rosji, nagle zatrzymani zostali ogromnemi górami lodu, pływającemi po morzu, które im całkiem drogę zatamowały. Wi-

dząc to, co tchu zawracali do domu, i tam przy dobrym kominkowym ogniu opowiadali krewnym i znajomym swoje przygody, mniemając, że już nikt po nich nie odważy się narażać na tak wielkie niebezpieczeństwa. Ale, jak to mówią: „nikt nie uwierzy, aż przymierzy“ i rzadko kiedy cudze doświadczenie idzie nam na pożytek. To też znaleźli się wkrótce nowi ochotnicy, którzy sobie myśleli, że zaopatrzywszy się dobrze w ciepłe ubranie i żywność, i wybrawszy się w drogę w innej porze roku, np. na wiosnę albo w lecie kiedy u nas śniegi na wysokich górach topnieją, toć przecie na owem morzu nie zmarzną i wynajdą ową upragnioną drogę.

Otoż na początku maja r. 1596 wyładowali porządnie dwa okręty, nad któremi objął główne dowództwo holenderski kapitan Jakób Hemskerk; ten zaś do pomocy przybrał sobie dwóch doświadczonych żeglarzy: Wilhelma Barenza i Jana Rypa.

Kiedy wypłynęli na morze, prześliczna pogoda i wiatr przyjazny zapowiadał pomyślną żeglugę, jakoż we cztery dni upłynęli około 180 mil morskich, kierując się ku północy, a to za pomocą owej igiełki magnesowej, która zawsze na północ wskazuje.

W kilka dni potem ujrzeli po lewej stronie (na zachód) wyspę Islandję należącą do Duńczyków. Na tej wyspie są góry ogniem buchające zwane wulkanami, i źródła gorące, które wyrzucają na kilka łokci wysoki słup wody wrzącej, a na około rozciągają się ogromne płaszczyzny śniegiem i lodem pokryte. Ten wulkan w Islandji nazywa się Hekla, a te źródła gorące zowią się tam gejzerami.

Dziw to nie mały, że w kraju tak zimnym jak Islandja, wnętrze ziemi tyle zawiera gorąca; ale trzeba o tem pamiętać, iż ta cała powierzchnia kuli ziemskiej, po której chodzimy i pływamy, jest tylko skorupą pokrywającą ogromne pokłady minerałów tj. żelaza, srebra, złota, miedzi itp. i że w samym środku tej kuli jest żar, który się z niej wydobywa, gdy minerały rozpalone do czerwoności roztopią się a potem zagotują, jak w szczelnie zamkniętym kotle, którego pokrywa albo się trzęsie, albo rozsadzona gorącem, pęka. Taka a nie inna jest przyczyna trzęsienia ziemi i wybuchu wulkanów.

Po dwutygodniowej żegludze, na początku czerwca, pomknęli się nasi podróżni aż za koło biegunowe, za którem jest taka okolica, gdzie już nic a nic nie rośnie, gdzie niema ani zboża, ani owoców, ani lasów, i gdzie słońce parę miesięcy w lecie wcale nie zachodzi, tylko się po niebie w około kręci, a po tym kilkumiesięcznym, nieustającym dniu, następuje nierównie dłuższa, nieustająca noc, która trwa około 6 miesięcy, oświetlona jedynie blaskiem śniegu, światłem księżyca i cudownie piękną jasnością na niebie, która się nazywa zorzą północną. Ta straszna kraina dla człowieka jest ojczyzną białych niedźwiedzi, niebieskich lisów, soboli i innych dzikich zwierząt.

Nie trudno sobie wyobrazić zdziwienie naszych żeglarzy przybywających z Holandji, gdzie jak u nas, słońce codzień regularnie wschodzi i zachodzi, gdy za nadejściem nocy, która nie nadeszła, słońce sobie tak świeciło jak w południe, i wcale nie zaszło!

Zdawałoby się, że kiedy w czerwcu słońce cały dzień i całą noc przyświeca, to tam upał musi być nieznośny a śniegi i lody powinnyby się roztopić. Ale gdzie tam, góry lodowe pływały sobie po morzu jak u nas w zimie kra na Wiśle, a podróżni drzeli od zimna. A pochodzi to z tej przyczyny, że promienie słońca padając tam z ukosa, świecą wprawdzie ale nie grzeją, tak np. jak kiedy trzymasz rękę nad płomieniem świecy, to cię parzy, a jak ją trzymasz z boku, choćby najbliżej to cię nawet nie grzeje. Powtóre: że promienie słońca mają własność wydobywania ciepła z ziemi na jej powierzchnią, a wiecie już że ziemia wewnątrz jest gorąca, ale przez warstwę śniegu i lodu czasem na parę łokci grubego, promienie słońca do ziemi przedrzeć się nie mogą, i dlatego choć słońce świeci, zimno jest na ziemi.

Około 15. lipca, kiedy u nas bywa najgoręcej, podróżni nasi zewsząd otoczeni byli bryłami lodu i rozmyślali nad tem, jak się to będzie ztamtąd wydostać, wtem zdaje im się że spostrzegają mnóstwo pływających po morzu łabędzi. Uradowani chwytają za strzelby, w nadziei że ubiwszy z jakie kilkadziesiąt sztuk, mieć z nich będą wyborną pieczeń, aż tu przypatrzywszy się lepiej, przekonali się, że owe łabędzie były to

kawałki lodu śniegiem obsypane. Smutna prawda spłoszyła wnet chwilę przyjemnego złudzenia, i biedni żeglarze ponuro spoglądali na siebie, gdy nowe zjawisko zwróciło ich uwagę. Oto ujrzeli teraz na niebie trzy tęcze i trzy słońca od razu. Cóż to znaczy? pomyśleli sobie. Czy to cud jaki? czy też istotnie trzy słońca świecą w tej lodowej pustyni? A jakże! cud, bo juścić wszystko co Bóg stworzył jest cudem, ale cud naturalny, prawdziwy, który zastanowiwszy się trochę, wytłumaczyć nie trudno.

Wiadomo, że powietrze które otacza ziemię w około, składa się z różnych wyziewów i w znacznej części z pary wodnej, która jeżeli zimno, marznie w powietrzu i spada na ziemię śniegiem, szronem lub gradem, a jeżeli ciepło to deszczem. I spyta kto może: A zkąd się ta para wodna bierze w powietrzu? Na to każdy z łatwością odpowie, że ona pochodzi ze wszystkich wód ziemskich, które wysychając ulatniają się i zamieniają w parę. Otoż te wyziewy powietrzne tak się czasem w gęste zbiją warstwy, że promienie słońca nie mogąc ich przebić, łamią się i odbijają jak w zwierciedle; toż samo dzieje się i ze słońcem i z tęczą, i dlatego się oczom naszym podwójnie i potrójnie wydają. Zjawiska te widzieć się dają najczęściej w zimnych okolicach, kiedy drobne krople pary wodnej nagle zmrożone, tworzą w powietrzu coś nakształt lodowatych zwierciadeł.

Im dalej żeglarze nasi posuwali się na północ, tem trudniej było płynąć, bo morze całe zawalone było kawałami lodu.

Około 19. lipca, ujrzeli przecież jakąś ziemię, a chcąc się dowiedzieć jej nazwiska, szukali na karcie geograficznej, gdzie wszystkie kraje były narysowane i napisane, ale nazwiska tej ziemi nie znaleźli. Pomyśleli więc zaraz, że to jakiś nieznany kraj być musi, o którym jeszcze w Europie nikt nie słyszał. Czemprędzej więc skierowali żagle w tę stronę, i przekonali się, że to była wyspa mogąca mieć około 8 mil długości. Majtkowie z obydwóch okrętow spuścili zaraz w morze kotwicę żeby się statki zatrzymały na miejscu, a kilku z nich wysiadło do łodzi, aby dopłynąć do lądu.

Kotwica, jest to ciężkie zębate narzędzie, które się zapuszcza na dno morza na długiej linie przytwierdzonej do okrętu, aby się tenże z miejsca nie ruszył.

Pierwsza rzecz, która ich na tej wyspie zastanowiła, było mnóstwo jaj ptaków morskich mewami zwanych. Znalezione na wyspie jaja, nie małym były przysmakiem dla biednych majtków, którzy pozbierawszy je starannie, uraczyli się na wieczerzę wyborną jajecznicą.

Nazajutrz pierwszy raz spotkali się z białym niedźwiedziem, który miał około 12 stóp czyli 6 łokci długości. Białe niedźwiedzie żyją tylko z bliskości oceanu lodowatego i są strasznie drapieżne. Paszcze mają w ostre zęby a łapy w ostre pazury uzbrojone. Żyją na lądzie, ale pływają i nurzają się w wodzie jak kaczki; karmią się rybami, cielętami morskiemi i nieżywemi wielorybami, dlatego krążą zawsze nad brzegiem mórz lodowatych, a czasem widzieć je można na bryłach lodu pływających, zkąd czatują na zdobycz.

Część załogi okrętowej wskoczyła do łodzi i popłynęła ku strasznemu potworowi, który stojąc na tylnych łapach, gotów był do walki. Rzucili się na niego z siekierami i dzidami odważni żeglarze, i po długiej bo dwugodzinnej z nim walce, położyli trupem ogromnego niedźwiedzia. Zawlekli go potem na okręt, obdarli ze skóry pokrytej piękną, długą siercią, a na wieczerzę skosztowali niedźwiedziej pieczeni, która im się nie gorszą od wołowej zdawała.

Na pamiątkę zabitego niedźwiedzia, kraj ten nazwali Niedźwiedzią wyspą, ktora się dotąd tak nazywa, a leży na północnej stronie Norwegji.

Opuściwszy bezludną Niedźwiedzią wyspę, żeglarze podnieśli kotwicę i ruszyli dalej na północ. Nad wieczorem, mówiąc po naszemu, bo tak o północy było jasno jak w południe, ujrzeli coś dziwnego na morzu, niby małą wysepkę pływającą, na którą zlatywało się mnóstwo mew żarłocznych, dzióbiąc jej powierzchnię. Przybliżywszy się jednak do tej mniemanej wyspy, poznali że to był nieżywy wieloryb, którego ogromne cielsko unosiło się na powierzchni morza.

Nikt z was nie widział żywego wieloryba, tego mieszkańca lodowatych oceanów, który w cieplejsze strony nie odbywa wędrówek; nikt go też u nas w całości zabitego nie widział, gdyż wielorybo-łowcy wziąwszy zeń tylko to, co ludziom przydatne być może, to jest tłustość, z której wytapiają tran i ości, z których wyrabiają tak zwany u nas fiszbajn, mięso jego zostawiają na pastwę niedźwiedziom, psom i ptakom morskim.

Wieloryb jest to najogromniejsze ze wszystkich znanych nam wodnych i lądowych zwierząt. Miewa niekiedy do 80 stóp czyli 40 łokci długości, a przeszło tysiąc cetnarów czyli sto tysięcy funtów wagi. Dawnemi czasy, nim ludzie zwiedzać zaczęli lodowate morza, były tam wieloryby na 100 łokci długie, ale odkąd ich rocznie tysiącami łowią, liczba tych potworów morskich znacznie się zmniejszyła i już do takiej wielkości nie dorastają. Głowa wieloryba wynosi trzecią część całego ciała i jest stosunkowo bardzo wielka, a otwór jego rozwartej paszczy ma 10 łokci dobrej miary.

Wystawcie sobie taką paszczę podobną do wielkiej otwartej bramy, w której znajduje się nieruchomy język, z którego czasem wytapiają do dziesięciu beczek tranu. W tej strasznej paszczy niema jednak ani jednego zęba, są tylko grube, rogowe listwy wyścielające podniebienie na kształt dachówek, zachodząc jedna na drugą. Listew takich w paszczy bywa do tysiąca, a mają po 7 łokci długości; z nich to mamy tak zwany w handlu fiszbajn, czyli róg wielorybi używany do różnych wyrobów tokarskich, do parasoli i staników sukien niewieścich. Dolna szczęka składa się z dwóch grubych kości, najmniej 10 stóp czyli pięć łokci długich, szerokich na pół łokcia, a grubych na sześć cali. Tych dwóch kości szczękowych używają w niektórych portowych czyli nadmorskich miastach, na odrzwi do bram zamiast drzewa, albo je też przepiłowują na słupki, i takowe wbijają po nad drogą lub przed domami dla uwiązywania przy nich koni.

A teraz opowiem wam, jakim sposobem łowią się wieloryby. Ponieważ tran i fiszbajn dobrze się spieniężają, więc północne nadmorskie narody, jak Szwedzi, Anglicy, Holendrzy itd. wysyłają corocznie, nie już jak dawniej, pojedyńcze statki

z małą załogą, ale naraz po kilkanaście okrętów, a w nich po kilkuset ludzi. Przybywszy w taką okolicę, gdzie się spodziewają napotkać wieloryba, stawiają jednego człowieka na straży u wierzchołka masztu, zkąd, jak z wieży, widzi przed sobą wielką przestrzeń morza. Maszt, jest to wysoki słup drzewa, osadzony na okręcie, do którego przywiązane są żagle. Gdy się ukażą dwa tryskające na morzu źródła, to znak, że w tym miejscu, wieloryb, pod wodą ukryty, wyrzuca z siebie wodę nozdrzami, aby nie utonąć. Wtedy stojący na straży zawiadamia o tem natychmiast osadę okrętową, która spuszcza łodzie na morze. Potem rybacy podpłynąwszy ostrożnie, żeby wieloryba nie spłoszyć, ciskają w niego z całej siły *harpun* żelazny, na długiej linie uwiązany, a utkwiwszy go w cielsku wieloryba spiesznie odpływają popuszczając linę u łodzi uwiązaną, a gdy lina nie dosyć długa, to przywiązują do niej beczkę i tę na wodę rzucają. Wieloryb z harpunem w skórze swej utkwionym ucieka, a liaa z beczką na wierzchu za nim płynie, pokazując rybakom gdzie go mają ścigać, lub gdzie się wieloryb skrył w głąb morza. Wieloryb chociaż żyje w wodzie, mógłby jednak w niej utonąć, gdyby przynajmniej co pół godziny nie wypływał na wierzch, dla zaczerpnięcia powietrza.

Łodzie więc za nim gonią, a ile razy wypłynie na wierzch dla oddechu, to nań rybacy ciskają harpunami, które więzną w jego skórze i sterczą jak kolce na jeżu. Harpun jest to ostre żelazo podobne do strzały lub dzidy, oprawione w trzonek drewniany. Gdy z wieloryba krew uchodzi, i zaczyna słabnąć, wtedy rybacy podpływają bliżej i uderzają na niego d z i r y t a m i (podobnymi do harpunów) dopóty, dopóki go na śmierć nie ubiją. Czasem jednak zdarzają się straszne wypadki na takich łowach, jak n. p. w r. 1802 przy brzegach Labradoru w północnej Ameryce. Kapitan okrętu stojącego na kotwicy, dostrzegłszy w pewnej odległości ogromnego wieloryba, wysłał za nim w pogoń cztery łodzie. Doścignięty i ugodzony harpunem wieloryb zanurzył się w wodę, wkrótce jednak wypłynął na wierzch, a machnąwszy ogonem, jednę z tych łodzi wraz z ludźmi, jak piłkę wyrzucił na jakie ośm łokci w powietrze. Nieszczęśliwa łódź, skręciwszy się od gwałtownego uderzenia, upadła dnem

do góry, a ludzie z niej wysypali się na morze. Takie smutne wypadki i teraz się jeszcze zdarzają, jeżeli majtkowie niezręcznie kierują łodziami, ścigającemi wieloryba.

Kiedy już wieloryba zabiją, wtedy rybacy zaprzęgają do niego kilka łodzi grubemi linami i ciągną za sobą do okrętu; potem cała załoga, uzbrojona w noże i siekiery przenosi się ze statku na nieżywego wieloryba i zaczyna go płatać; wydzierają mu fiszbin, wykrawają tłustość, pakują takową w beczki, by potem tran z niej wytopić, którego z jednego wieloryba od 20 do 30 beczek otrzymują, a kości z mięsem zostawiają na pastwę drapieżnemu ptastwu.

Wyprawa na wieloryba należy do najniebezpieczniejszych; ziemia, morze i powietrze trwogą tam człowieka przejmują. Okrótny mróz krew w żyłach ścina; mgła i śniegi zachmurzają niebo, góry i ławy lodowe grożą roztrzaskaniem okrętów, a straszne białe niedzwiedzie czychają na urwiskach gotowe rozszarpać człowieka, któryby się ku nim zbliżył. Nigdzie drzewa ani krzaka rosnącego nie ujrzysz, chyba gdzieniegdzie odrobinę mchu lub trawy wydobywającej się z pod śniegu.

Żeglarzy nasi znalazłszy tedy nieżywego wieloryba na powierzchni morza, zabrali jak swego, sposobem wyżej opisanym; wziąwszy z niego fiszbin i tłustość, resztę wraz z mięsem zostawili na wodzie.

Płynąc wciąż ku północy i torując sobie drogę pomiędzy skałami lodu, dopłynęli do jednej wyspy najdalej na północ położonej, którą pózniej nazwano wyspą *Szpicberg*, ztąd że jest najeżona spiczastemi i stromemi górami.

Krążąc około tej wyspy, kilka razy wysiadali na ląd, lecz ponury jego widok nie zachęcał do zapuszczenia się w głąb kraju. Oprócz drapieżnych białych niedźwiedzi i niebieskich lisów, których piękne futro bardzo jest kosztowne, znajdują się tam r e n i f e r y, będące największem dobrodziejstwem dla biednych mieszkańców północy. Czem dla nas krowa, wół, koń i owca, tem dla nich jest renifer. Mleko daje tłustsze od krowiego, mięso równie dobre jak wołowe, skóra jego służy za odzież lub za osłonę chat od wichru i deszczu, z rogów i kości wyrabiają różne narzędzia, z żył robią grube nici, z pęcherza

sakwy, a oprócz tego, zaprzężony do sani, lub do wozu, przebiega prędzej od konia największe przestrzenie po lodzie i śniegu, uchodząc dziennie po mil trzydzieści. Stopy ma długie i szerokie, więc po najgłębszych zaspach śniegu nie załamując się, lotem błyskawicy przemyka. Ale te wszystkie przymioty na nic się tam przydały, gdyby choć cokolwiek był wybredniejszy w jedzeniu, gdyby jak koń, wół i owca potrzebował obroku, słomy i świeżego siana: bo zkądże wziąść tego wszystkiego, tam gdzie nic nie rośnie, gdzie się nic nie sieje i nic nie zbiera? Otóż Pan Bóg, który wszystko mądrze i dobroczynnie urządził, na każdą chorobę stworzył lekarstwo, na każdy smutek dał pociechę i w każdym niedostatku zapewnił człowiekowi, który rąk nie opuszcza, wsparcie i pomoc, Bóg zastosował naturę renifera do jałowej natury gruntu, na którym żyć mu kazał. Człowiek nie potrzebuje się troszczyć o wyżywienie całego stada reniferów, które rogami i kopytami same sobie wygrzebują z pod śniegu pewien rodzaj siwego mchu, służącego im za pokarm. Gdyby nie to dobroczynne zwierzę, te owe zimne kraje musiałyby na zawsze pozostać bezludne.

Renifer podobny jest do jelenia, z tą tylko różnicą, że jest trochę mniejszy, nogi ma nieco krótsze i odmienne rogi. Na wybrzeżu tych lodowatych pustyń znajduje się mnóstwo potworów morskich, co są na wpół podobne do zwierząt czworonożnych, a na wpół do ryby; cielę lub pies morski, inaczej foką zwany, ma łeb do psa podobny, dwie przednie łapy pletwowate, a ogon rybi. W zimie żyje na lodzie i na morzu, a w lecie wyłazi na ląd. Skóra jego pokryta krótkim lśniącym włosem używaną bywa do obijania kufrów. Zwierzę to miewa od 4 do 8 stóp długości, a tłuszcz z niego otrzymywana wydaje tran podobny do wielorybiego. Cielęta morskie pływają gromadnie, i całemi stadami bywają wybijane. Kiedy słońce świeci, wyłażą z morza, a wyciągnąwszy się na bryłach lodu spią, głośno chrapiąc. Ztąd też przysłowie: „chrapie jak cielę morskie“. Wtedy na spiące foki uderzają ludzie maczugami czyli pałkami gwoździami nabijanemi, i wielką ich liczbę zabijają; bo zwierze to na swoich dwóch krótkich łapach raczej się czołga niż bieży i nie trudno je doścignąć człowiekowi. Żywi

się ono trawą morską i rybami. Niektóre północne ludy, np. Grenlandczycy, Kamczadale i Eskimosy jedzą mięso foki, ze skóry jej robią sobie odzież, a tłuszcz wytopiony służy im za olej do lamp w czasie długiej zimowej nocy. W okolicach Szkocji, która należy do Anglików, mnóstwo fok chroni się po skałach nadmorskich, tam myśliwi na lekkich czółnach z pochodniami w ręku podpłynąwszy, napadają na przestraszone światłem zwierzęta i wiele ich trupem kładą, bijąc je tylko kijami po nosach.

Krowa morska podobna jest do cielęcia morskiego, czyli foki, tylko cokolwiek większa; dwa wielkie kły wychodzą jej po obu stronach z paszczy, a są tak białe jak kość słoniowa. Najwięcej też dla tych kłów polują na krowy morskie bo mięso ich niesmaczne, a tłuszczu w sobie nie mają.

Do strasznych i żarłocznych ryb morza północnego należą przedewszystkiem Rekin i Piła. Rekin, nie bez przyczyny tygrysem morskim nazwany, miewa do czterech sążni, czyli 12 łokci długości, a waży około 40 cetnarów. W ogromnej jego paszczy jest przeszło 400 ostrych zębów kilkoma rzędami osadzonych, gardło ma obszerne, skórę grubą i twardą, węch i słuch bardzo bystry, a obyczaje ma drapieżne i dzikie. Rekina zowią także ludojadem, bo na ciało ludzkie bardzo jest łakomy, i dlatego płynie za okrętami czychając na żywą lub martwą zdobycz. Kiedy człowiek umrze na okręcie, to mu taki pogrzeb sprawiają, że uwinąwszy ciało w płótno wrzucają one w morze, na pastwę morskim potworom. Ludojady znajdują się i w cieplejszych stronach na południe Europy i na oceanie wschodnim w bliskości cesarstwa Chińskiego. Ryba zwana Piłą, ma pysk zakończony długim, płaskim, chrząstkowatym wyrostem, podobnym do piły, po obu brzegach zębami najeżonym. Jest ona zawziętą nieprzyjaciółką wieloryba, którego dopóty swoją piłą kaleczy, dopóki go nie zabije; napada nawet niekiedy i na srogiego ludojada i zwycięzko z nim walczy, chociaż nierównie od niego jest mniejszą.

Takie to dziwa widzieli i ci żeglarze, co płynęli na morze lodowate. Co się zaś z nimi dalej stało, później wam opowiemy.

(Cz. Nied.)

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.